Rok III. Lwów — październik 1901. Nr. 9.

Promień

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM
MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Wychodzi raz w miesiącu.

PRENUMERATA WYNOSI:

Rocznie K. 3.20, z przesyłką 3.68; kwartalnie 80 h., z przesyłką 92 h. — Numer pojedynczy 30 h., na prowincyi 32 h. — W zaborze pruskim i w Niemczech rocznie 3 marki 40 fen. — W innych krajach należących do związku pocztowego, rocznie 4 franki 20 centimów.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Sapiehy l. 15.
Filia Administracyi: Kraków, ulica św. Gertrudy l. 7, III. piętro.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały.“ *Krasiński.*

PARTYE POLITYCZNE W GALICYI.

Wakacye się skończyły i szeregi kolegów z zaboru rosyjskiego wracają do zakładów naukowych galicyjskich. Jak zwykle, tak i teraz przyjeżdża tu wielu nowych słuchaczów do politechnik, uniwersytetów i szkół sztuk pięknych czy to w Galicyi, czy też w innych prowincyach państwa austryackiego.

Nie od rzeczy zatem będzie streścić w krótkim zarysie dążenia partyi politycznych polskich w zaborze austryackim. Nie czynimy tego, by zachęcić kolegów do przystępowania do tej lub owej partyi politycznej, gdyż ich stanowisko, jako »obcokrajowców«, utrudnia im, często uniemożebnia, branie czynnego udziału w polityce, ale idzie nam o to, by się jaknajlepiej oryentowali, przytem zawsze byliśmy tego zdania, że już na ławie szkolnej powinniśmy wyrabiać sobie przekonania polityczne, jeżeli bowiem wtenczas, gdy jeszcze jesteśmy pełni sił i zapału, nie potrafimy określić sobie, jakie przyczyny wywołują zło na świecie i jaki powinien być idealny ustrój naszej ojczyzny, to tem trudniej nam będzie uczynić to później, gdy pogrążeni będziemy w troski o chleb powszedni, utrzymanie rodziny i t. p.

„*A tout seigneur tout honneur*“ (każdemu panu zaszczyt przynależny) — zaczniemy zatem od stronnictwa, na które słusznie zupełnie zwrócona jest uwaga całej Polski i które na każdym kroku zaznacza swą żywotność — od »Polskiej partyi socyalno-demokratycznej Galicyi i Śląska«. Taką jest nazwa oficyalna stronnictwa socyalistycznego w zaborze austryackim, od czasu przedostatniego zjazdu partyjnego. Dawniej partya nosiła nazwę »Galicyjskiej partyi socyal.-demokratycznej«, a zmiana nastąpiła od czasu, gdy się obok polskiej utworzyła »Ruska« (czyli rusińska) partya soc. dem. Oficyalnym programem partyi jest dotąd t. zw. program hainfeldski, będący wyznaniem wiary socyalistów całej Austryi. Program ten zostanie w tym roku zmieniony, a raczej rozszerzony i dopełniony, gdyż w gruncie rzeczy między programami socyalistycznymi poszczególnych państw i narodowości różnic zasadniczych niema i być nie może: wszystkie one zawierają dążenie do ustroju prawdziwie demokratycznego — ludowładztwa w całem znaczeniu tego słowa, do usunięcia wyzysku, za pomocą zniesienia prywatnej własności środków produkcyi i uspołecznienia produkcyi. Różnice polegają tylko w sposobach, jakich się socyaliści chwytają, by dojść do swego celu ostatecznego, ale i te środki nie są wymysłem jakichś dowcipnych »przewódców«, ale odpowiadają ściśle różnorakim warunkom politycznym, narodowym, wogóle społecznym danego kraju.

Program hainfeldski jest programem socyalistów polskich, niemieckich, czeskich, słoweńskich, włoskich itd., nie może zatem zawierać żadnych punktów, które by tyczyły się wyłącznie jednego z tych narodów, ale temu socyaliści polscy zaradzili za pomocą specyalnych uchwał. Przystępując do partyi ogólno-austryackiej oświadczyli oni, że poddają się dyscyplinie organizacyjnej, ale z temi zastrzeżeniami, które wynikają z więzów łączących ich z braćmi z za kordonu. Zaś na ostatnim zjeździe ogólno-austryackim (w Bernie morawskiem) złożyli deklaracyę, w której wypowiedzieli się niedwuznacznie za niepodległością Polski.

Formalnie w zapatrywaniach na kwestyę niepodległości niema różnicy między socyal.-demokracyą galicyjską a P. P. S. zaboru rosyjskiego. *Faktycznie* istnieje jednak różnica w poglądach, którą łatwo bardzo sobie objaśnić. Dla Galicyi niepodległość jest idealną formą ustroju państwowego i potrzebą normalnego rozwoju bytu narodowego, do której należy dążyć, ale zdobycie

której stanowi tylko ostatnie ogniwo długiej ewolucyi politycznej. Tymczasem w zaborze rosyjskim niepodległość tak silnie jest związana ze sprawą swobód politycznych, bez których naród, a zwłaszcza klasa robotnicza normalnie rozwijać się nie jest w stanie, że zdobycie niepodległości stanowi najżywotniejszą kwestyę polityczną. Podczas gdy w Galicyi istnienie konstytucyi pozwala na zdobycie całego szeregu reform, bez zerwania stosunku do Austryi, to w zaborze rosyjskim na każde cierpienie, na każdą potrzebę społeczną można tymczasem dawać jedną odpowiedź — konieczność pozbycia się przedewszystkiem najazdu. Dlatego też, jeżeli koledzy, którzy zaznajomili się z dążeniami P. P. S. i sympatyzują z tą partyą, spotykają się w zaborze austryackim nieraz z bardziej obojętnem odnoszeniem się do kwestyi niepodległości, nie powinno to ich ani dziwić, ani tem bardziej zrażać. Im szersze kręgi bowiem zatacza polski ruch socyalistyczny w Galicyi i na Śląsku, im większe masy ludowe obejmuje swoim wpływem, tem konkretniejsza staje się dlań sprawa niepodległości ojczyzny. Powtóre zaś, samo istnienie poważnej siły politycznej ludowej w jedynej prowincyi polskiej, która posiada pewien samorząd, już samo przez się jest bardzo poważnym czynnikiem w naszym rozwoju narodowym, a ujęcie tego wpływu w ramy określonego dążenia politycznego będzie musiało samo przez się prędzej czy później nastąpić.

Na jedną stronę działalności socyal.-demokracyi polskiej w zaborze austryackim chcemy tu zwrócić specyalną uwagę, mianowicie na olbrzymie znaczenie tej działalności dla kulturalnego podniesienia ludu naszego. Każda godzina spoczynku, każda dodatkowa szóstka płacy, zdobyte w jakimś zawodzie — to tyleż tysięcy książek, broszur i numerów pism, które będą mogły być przeczytane, to jest podniesienie całej stopy życiowej ludu, jego potrzeb duchowych i możności ich zaspakajania. A jak kolosalne znaczenie ma podnoszenie godności osobistej ludu w Galicyi, w tym kraju, w którym poniżenie klas niższych przypomina często stosunki chyba indyjskie — tego nie potrzeba dowodzić, tymczasem obrona praw politycznych ludu, prowadzona przez socyalistów i ciągła, niezmordowana walka z nadużyciami bardzo dużo pod tym względem czyni.

Albo weźmy stosunki Śląska austryackiego. Co z tego, iż istniało tam i dawniej parę pisemek polskich, czytanych przez

garstkę księży i bardziej zamożnych chłopów, co z tego nawet, że zostało założone gimnazyum polskie w Cieszynie, gdy tysiące proletaryuszy polskich, pozostawione bez jakiegokolwiek dostępnego dla nich pokarmu duchowego, skazane były na stałą czechizacyę i germanizacyę. Dopiero gdy przyszli socyaliści, założyli stowarzyszenia, w których obrady toczą się po polsku, sypali dziesiątkami tysięcy broszur i numerów pism polskich, na setkach, a obecnie już na tysiącach zgromadzeń, zdobyli prawo obywatelstwa dla mowy polskiej, dopiero wtedy prastara ta dzielnica zaczęła przychodzić do siebie, a i życie narodowe bardziej wartkim popłynęło prądem!

Na zakończenie powiedzmy, że zwrot od krańcowej »międzynarodowości« do uznania dążenia do niepodległości, któremu w zaborze rosyjskim towarzyszyły ostre bardzo walki programowe, w Galicyi odbył się całkiem spokojnie, prawie niepostrzeżenie. Kogo ta kwestya interesuje, ten niechaj przejrzy roczniki galicyjskich pism soyalistycznych z r. 1890, 1891 i porówna je choćby z dzisiejszym Naprzodem.

Dalej, mamy w Galicyi stronnictwo ludowe. Istnieje ono już oddawna, ale dopiero podczas wyborów do sejmu w r. 1895 wystąpiło z określonym programem. Był to program *par excellence* chłopski, w dodatku przeznaczony wyłącznie dla chłopów — posiadaczy ziemskich, nie dla małorolnych i parobków. Domagał się on zaprowadzenia *bezpośredniego i tajnego głosowania*, ale *nie powszechnego* i już tem jednem nakładał na wszystkie swe żądania wyraźne piętno kastowości. Innymi punktami programu były żądania: większego krzewienia oświaty, złączenia obszaru dworskiego z gminą wiejską, zmiany krzywdzących dla włościan ustaw drogowej i łowieckiej, — wreszcie nic nie mówiący i dla większości napewno niezrozumiały ogólnik o większem usamodzielnieniu Galicyi. Zaś w odezwie wyborczej znajdujemy charakterystyczne niezmiernie zdanie, iż ludowcy nie chcą iść *pod szlachtą*, ale *obok szlachty*. Program ten można znaleźć w Nr. 214 Kuryera Lwowskiego z r. 1895.

Wybory do sejmu dały ludowcom 7 mandatów. W dwa lata później nastąpiły wybory do Rady państwa. I tu stronnictwo ludowe występuje, jako typowa organizacya zamożniejszych chłopów. Żadnej szerszej agitacyi, małe zebrańka przy zamkniętych drzwiach, za osobistemi zaproszeniami, namiętne zwalczanie so-

cyalistów — to były cechy charakterystyczne. W rezultacie ludowcy zostali haniebnie pobici i to przez Stojałowskiego, który opierał się na proletaryacie wiejskim i szedł ręka w rękę z socyalistami. Od tego czasu zaczyna się zwrot na lewo stronnictwa ludowego i obecnie nabiera ono coraz więcej cech demokratycznych. Przedewszystkiem występuje ono wyraźnie zupełnie z żądaniem *powszechnego* prawa głosowania (ostatnie wybory odbywały się już wszędzie pod tem hasłem). Następnie stosunek jego do socyalistów zmienił się też zasadniczo. Zrozumieli oni, że wrogiem ludu jest fanatyzm, despotyzm i sobkowska klika stańczykowsko klerykalna, nie zaś robotnik uświadomiony. To też przy ostatnich wyborach do Rady państwa i sejmu ludowcy i socyaliści wszędzie idą ręka w rękę.

Na ostatnim zjeździe stronnictwa ludowego (w Tarnowie) do programu przyjęte zostało żądanie wyodrębnienia Galicyi, t. j. zdobycia dla tej prowincyi oraz dla polskiej części Śląska takiego stanowiska.

Tu zauważyć musimy, że nie należy bynajmniej identyfikować stronnictwa ludowego z grupką Przeglądu wszechpolskiego. Pomimo tego, że ta ostatnia ma siedzibę w Galicyi, jednak między nią i ludowcami niema żadnych punktów stycznych, a pan Popławski traktuje obecnie tych ostatnich z taką samą nienawiścią, jak socyalistów. Odpłacają oni mu się pięknem za nadobne: niedawno Kuryer Lwowski pomieścił w dwóch numerach (Nr. 228 i 230) bardzo ostrą, choć sprawiedliwą krytykę programu i działalności narodowej demokracyi.

Organami ludowców są: Kuryer Lwowski, Przyjaciel ludu, Głos ludu śląskiego i parę pisemek prowincyonalnych.

O stojałowczykach i Związku chłopskim dużo mówić nie będziemy. Stojałowski najzupełniej upadł moralnie i daje się kupić każdemu, kto go zechce mieć. W tej chwili jest on ajentem stańczyków (podobno ma za to dostać bogate probostwo żółkiewskie). Zaś Związek chłopski jest to organizacya zamożnych i konserwatywnych chłopów, popierana przez szlachtę.

Przechodzimy wreszcie do t. zw. *demokracyi.* Pod tą szumną nazwą kryje się bardzo umiarkowana partya, zaledwo odpowiadająca liberałom innych narodowości. Na czele jej stoją: Romanowicz, Rutowski, Rotter, Lewicki, Małachowski i inni. Ludzie ci wygłaszają nieraz bardzo postępowe mowy i piszą takież arty-

kuły; żądają oni: tajnego głosowania w III. kuryi (miejskiej), bezpośredniego w IV. (wiejskiej), zaprowadzenia V. kuryi przy wyborach do sejmu, energicznego popierania przemysłu, szkolnictwa, zniesienia resztek niemczyzny w administracyi, oddania kolei galicyjskich pod zarząd krajowy i wielu innych ładnych rzeczy. Niestety wszystkim z góry wiadomo, że nic z tego nie będzie. Panowie »demokraci« zasiadają bowiem w Kole polskiem o ile są posłami do Rady państwa, i tam skrępowani są regulaminem tej organizacyi stańczykowskiej do tego stopnia, że nic zrobić nie mogą. Według ustawy Koła polskiego każda kwestya rozpatrywana jest wprzódy w tej grupie, zanim przyjdzie do obrady parlamentu. I tu dzieje się zawsze, że wnioski postępowe zostają w Kole odrzucone, poczem pp. demokratom nie wolno za nimi głosować, ani przemawiać w parlamencie. Wtedy zaczynają oni płakać, piszą żałosne artykuły do Słowa Polskiego lub Nowej Reformy i... uspakajają się. Cała ich opozycya jest zatem w gruncie rzeczy jedną wielką komedyą.

Swoją drogą zaznaczyć należy, że i wśród demokratów istnieją odcienia bardziej radykalne, które z coraz większą niecierpliwością znoszą jarzmo stańczykowskie. W stosunku do socyalistów zachowują się oni — a przynajmniej ten bardziej radykalny odłam — przyzwoicie. Romanowicz nieraz powtarzał publicznie, że w kwestyach robotniczych będzie szedł ręka w rękę z socyalistami, a Słowo Polskie i Nowa Reforma odnoszą się do partyi socyal.-demokratycznej zwykle bardzo uczciwie. Już to pod tym względem wogóle znaczna zaszła zmiana w ciągu ostatnich 4-ch lat.

O stańczykach mówić nie będziemy. Ci sami dadzą się we znaki naszym kolegom.

CO NAM DAJE SZKOŁA ŚREDNIA?

Referat kol. Kisielewskiego wyświetlił nam cele i zadania, które powinny być ideą przewodnią całego naszego życia i naszych dążeń. I jeżeli chcemy być konsekwentnymi, musimy się zapytać: jakie są warunki, wśród których kształci się nasza mło-

dzież, czy przyczyniają się one choć w części do tego, by tworzyć z nas ludzi, którzy by te zadania i cele urzeczywistnić mogli i chcieli? Tak referat mój pojmuję; stawiam więc pytanie:

Co nam daje szkoła średnia, co nam daje pod względem moralnym, fizycznym, umysłowym?

* * *

Kwestya reformy szkół średnich jest dziś kwestyą najwięcej palącą, gdyż szkoły średnie z przestarzałym swym systemem są anachronizmem wprost rażącym.

Wprzód jednak nim przystąpię do analizy wartości tego systemu, chcę zaznaczyć moje w tej sprawie stanowisko.

Znam te wszystkie ironiczne pół uśmiechy i sądy tych, którzy ze swych piedestałów raczą na nas spojrzeć a nawet łaskawie uśmiechnąć się z politowaniem na myśl, że chcemy świat reformować.

Otóż nie! My świata reformować nie chcemy — a raczej dziś jeszcze nie chcemy. Nie chcemy koniecznie uchodzić za »wielkich«, ba, nawet za nad ludzi, gdyż niestety wiemy, że społeczeństwu naszemu przedewszystkiem ludzi — oh, ludzi potrzeba!

Ale chcemy wykazać, o ile nasz przestarzały system szkolny jest nieudolny, że my pod obuchem tego systemu najwięcej cierpimy, że cierpi społeczeństwo, zasilane młodzieżą wychodzącą z takich właśnie gimnazyów i szkół realnych.

Na to zawołają niektórzy, że burzymy dotychczasowy porządek, nie stawiając nic realnego.

Czyż to jest burzenie?

Wykazujemy, że nasz system szkolny w gruzy się rozpada, krzywdzeni, mamy prawo zawołać, że cierpimy i mamy prawo żądać usunięcia tych krzywd.

Tak więc niczego nie reformujemy, niczego też nie burzymy. Zadaniem mego referatu będzie postawienie dyagnozy: leczenie nie do mnie należy.

Zresztą wszystkich, którzy by chcieli zaznajomić się bliżej z kwestyą reformy szkół średnich odsyłam do dziełka: »Was leistet die Mittelschule?« wydanego jako praca zbiorowa ankiety obradującej w zimie r. 1898 w Wiedniu, zebranej staraniem re-

dakcyi »Wagi« — i do innych pism, które w ciągu mego przemówienia wymienię.

Jeszcze raz wyraźnie zaznaczam, że my reformować nie chcemy, i tylko odczuwając krzywdę i niesprawiedliwość dzisiejszego systemu szkolnego chcemy zaznaczyć nasze stanowisko w tej sprawie za pomocą środka, który jedynie nam pozostaje, a zatem w formie protestu!

* * *

Koledzy! Przybyliście tu tak licznie, wiedzeni, sądzę, myślą, która i nami powodowała, gdyśmy ten wiec zwoływali.

Chęć zadzierzgnięcia węzłów przyjaźni z jednej strony, a z drugiej, ta nieprzeparta żywiołowa chęć samoobrony i samopomocy, która nam każe zastanowić się nad naszą przyszłością, rozważyć: 1) dokąd powinniśmy nasze kroki zwrócić, a 2) przed czem się bronić należy. Gdy część pierwsza świetnie urzeczywistnioną została w referacie kol. Kisielewskiego, przystępuję do części drugiej.

Słyszeliśmy tu zarzuty czynione szkole, nauczycielstwu i całemu systemowi nauki szkolnej.

Czyż może niesłuszne? Czyż trzeba ich słuszności dowodzić? Dowodami tego my, którzy wychodzimy z gimnazyum lub szkoły realnej, których wiedza, jeśli jej sami sobie nie zdobędziemy — jest śmieszna; pod względem fizycznym wychodzimy niedołęgami — moralnie zblazowanymi starcami i cynikami. Tak, kto zna ogół młodzieży naszej, inaczej nie powie.

Tym jednak, którzy by się sceptycznie odnosili, do moich słów, przytoczę słowa czasopisma »Muzeum«, będącego organem nauczycieli szkół średnich, których nikt chyba o stronniczość nie posądzi. Czytamy w zeszycie lutowym z roku 1901 na str. 73: »Młodzież nasza zamiast szukać wzniosłych ideałów dąży co rychlej do urzędniczej karyery, zapewniającej jej bez nadmiernego wyniku myśli, spokojną egzystencyę. Obojętność dla spraw dobra społecznego, tchórzliwe sobkostwo, brak przekonań, cywilnej odwagi, brak inicyatywy i samodzielności życiowej, jednem słowem filisterstwo w całem tego słowa znaczeniu, to cechy jej z nie licznymi zaledwie wyjątkami«.

I jeśli uprzytomnimy sobie słowa naszej odezwy: »Stajemy młodzi, ale brak nam tej pogody myśli, która młodości oznaką. Systematyczne ogłupianie wydało już w części owoce! Niech się cieszą ci, którzy miasto Prawdy czystej i świętej w młodociane serca nasze wpajali — fałsz i serwilizm. Niech się cieszą — bo zatruli nam zdrowie, spaczyli naturę. Ale czujemy, że musimy się bronić, odruchowo uciekamy przed grożącą nam klęską« — jeśli te słowa sobie uprzytomnimy, to zrozumiemy, że to odruchowa reakcya przeciwko temu co jest, że to okrzyk zgrozy duszy, którą starano się w błocie zanurzyć i która ze wstrętem przed tą ohydą moralną ucieka.

Że ten okrzyk jest prawdziwym i słusznym, nie potrzebuję dowodzić wobec Was, koledzy, którzyście niestety smutne skutki takiego stanu rzeczy na własnej skórze poczuli. I sądzę, że raczej ci powinni argumentować i dowodzić, którzy by chcieli twierdzić, że tak nie jest!

Koledzy! za rok, najwyżej za dwa, niektórzy już dziś powołani są do służby wojskowej. Mamy więc nieść krew i mienie w obronie kraju i ludności. I do przelewania krwi jużeśmy dorośli — ale nie wolno nam protestować przeciw tej dusznej atmosferze, wśród której żyjemy, spokojnie powinniśmy patrzeć jak gangrena moralna wgryza się w naszą krew — i spokojnie powinniśmy cierpieć!

Ani słowa protestu — to rewolucya, to przewrót...... Na to odpowiem, że w Szwajcaryi, Belgii, Francyi, Anglii, Stanach Zjednoczonych i t. d. i t. d. młodzież z ukończeniem 20-go roku życia otrzymuje prawo wyborcze!

Bo i słusznie.

Z tą samą chwilą, kiedy bierze zobowiązanie walczenia za ojczyznę jako żołnierz, z tą samą chwilą nadaje mu się pełne prawa polityczne!

I jeżeli żądamy tego uprawnienia, jeśli żądamy, by nas nie uważano za malców lub w najlepszym razie za zapaleńców o gorących głowach, — to nie czynimy tego przez zarozumiałość, która by nam nakazywała udawać ludzi »dojrzałych«, lecz ze względu na dwuznaczne stanowisko, jakie pewne sfery wobec młodzieży zajmują.

Zresztą domagając się tego, nie jesteśmy osamotnieni: znany zapewne znacznej części tu zebranych ś. p. Stanisław Stodolak rozumiał to czego my żądamy, i wyraźnie to zaznaczył w swem dziełku: »O reformie szkół średnich«.

I dlatego będąc przekonani, że po stronie młodzieży staną zawsze Ci, którzy nigdy nie zapominają, że powinni być przedewszystkiem ludźmi, wierzymy, że wcześniej, czy później przy wszelkich reformach w szkole, głos młodzieży na sali zaważy.

* * *

Na naszych szkołach średnich winien widnieć zdala napis jak nad bramą dantejską: »Straćcie nadzieję, Wy, którzy tu wchodzicie«. Tak, szanowni rodzice! Straćcie nadzieję, którą się łudzicie, że dajecie synów do zakładu, by nabrali wykształcenia umysłowego, by wyszlachetnieli moralnie. Straćcie nadzieję!

Bo szkoły realne i gimnazya w Galicyi są przybytkami demoralizacyi, są domami zepsucia, gdzie fałsz i obłuda są pokarmem naszym niemal codziennym.

Gdy prof. Baudouin de Courtenay opublikował w roku 1898 słynne swe dziełko o fałszywej fasyi, dosadnie napiętnował całą jej ohydę, przeciw której ani jeden z »naszych wielkich« nie protestował. Mówi on (str. 12) »Na takim gruncie nierównie bujniej niż gdzieindziej wyrasta cały rój objawów, dla których wspólną nazwą kłamstwo i oszustwo. Z tak preparowaną moralnością publiczną doskonale godzi się moralność giełdziarzy, moralność fabrykantów i handlarzy świętości, moralność kuglarzy i faryzeuszów«, — a ja dodam i moralność naszego systemu szkolnego!

Mam na myśli sposób, w jaki u nas odbywają się egzamina dojrzałości.

Stosunki o których będę mówił nie należą do najnowszych. Wytworzyły się przed laty, a nie napotykając nigdzie na opór, stoczyły każdy nerw naszego społeczeństwa, grożąc mu ruiną.

Nic się nie zmieniło na lepsze; owszem — zło uświęcone tradycyą stało się dogmatem powszechnym!

Boję się — by ci, którym zależy na przekręceniu lub pominięciu prawdy nie czynili mi zarzutów, że podaję fakta z prawdą

niezgodne, lub choćby i przesadne. Dlatego przytoczę słowa dra Samolewicza z jego sprawozdania do Wydziału krajowego. Tam na str. 136-ej czytamy: »Nie tajno nikomu jakich nadużyć corocznie abituryenci... się dopuszczają. Nie tylko, że uczniowie jedni od drugich wypracowania odpisują...., lecz nadto tworzą się całe komitety po za szkołą, mające na celu pomagać uczniom w wypracowaniach. W większych zwłaszcza miastach.... wszelkie nadużycie i oszukaństwo weszło... w zwyczaj ustalony!!

Konstatuję fakt, któremu nikt zaprzeczyć nie potrafi. Ja z mej strony dodam, że całe to ohydne postępowanie przybrało takie rozmiary, że nieliczni profesorzy, którzy na to oszukańcze odpisywanie nie zezwalają, w charakterystycznym języku studenckim otrzymują epiteton »świnia«, — a cały ogół nauczycielstwa nie tylko przeciw odpisywaniu nie występuje, ale je owszem popiera! O przykłady nie trudno.

To lekceważenie obowiązków, to obłudne kupczenie sumieniem, przechodzi ludzkie pojęcie!

A jednak — to wszystko nie wystarcza galicyjskiemu abituryentowi. Jego zróżniczkowany umysł nadczłowieka święci większe tryumfy. On porozumiewa się ze swymi egzaminatorami, **którzy mu dają pytania** na jakie ma odpowiadać przy ustnym, nawet zdarza się, że on dyktuje swemu profesorowi pytania, z których chce być pytanym!

Tu może zawiniło i społeczeństwo, ale nikt nie zaprzeczy że system szkolny, który to toleruje, że niegodni nauczyciele, którzy do tego zachęcają, winni być publicznie napiętnowani. Całe to kłamstwo i obłuda, do której przyzwyczajają nas od najmłodszych lat, i do której zmuszają nas przez to, że, przez w najlepszym razie źle zrozumianą pobłażliwość, puszczają z klasy do klasy tych, którzy na to nie zasługują, że lekceważeniem obowiązków i pierwszych zasad moralności spowodowali, że nikt z nas (z małymi może wyjątkami) matury ustawą przepisanej, zdać by nie potrafił — całe to kłamstwo jest strasznym policzkiem nam wymierzonym, który nas dławi i piecze!

Bo — pomyślcie koledzy! Mamy być później sędziami, obywatelami i profesorami, mamy dawać przykład cnót w kółku rodzinnem, mamy być patryotami, my, których szkoła nauczyła kłamać!

Czuję, że niektórzy wprost nie pojmują, ile w tem niemoralnego, nie pojmują całych obszarów poniżenia i upodlenia po jakich stąpać jesteśmy zmuszeni!

Jeszcze słów parę. Zarzucą mi niektórzy, dlaczego nie protestowałem wówczas, gdy mi pytania dawano, dlaczego je przyjąłem. Tym odpowiem, że w naszych szkołach średnich protestować nie wolno! Pominę to, że pytań tych kilku z pomiędzy nas nie żądało i nie potrzebowało; byli to ci, którzy mogli bez obcej pomocy odpowiadać z całego materyału, — którzy jednak przez wzgląd na solidarność i by »nie psuć« kolegom — jak tamci się wyrażali, pytania przyjęli. Ale chcę traktować tę sprawę zasadniczo: sądzę, że choćbym był jednym z tych, którzy tych pytań najwięcej potrzebowali, to jeszcze i to tem słuszniej mam prawo tu wystąpić i protestować: »Wasz to system szkolny panowie profesorzy, wyście temu winni, że doszedłem do klasy najwyższej nic nie umiejąc, wyście spowodowali to, że musiałem tych pytań pragnąć, protestuję przeciw temu i potępiam was!«

Gdyby choć to niezdrowe postępowanie było wyjątkowem w pewnem miejscu i w danym czasie, — to jakkolwiek nie przestałoby przejmować nas wstrętem, — mogłoby przynajmniej być zrozumiałem.

Ale dowiadujemy się, że prawie wszędzie, w całej Galicyi oszukaństwo stało się systemem, który doskonali się coraz to więcej i który przybiera coraz więcej rafinowane formy. Więc mamy prawo wołać, że system nasz to »systematyczne ogłupianie«, którego najbliższą i najstraszniejszą konsekwencyą spaczenie naszej natury!

Jeżeli postaramy się ocenić całą doniosłość skutków jakie ten system za sobą pociąga — to musimy ten system uznać za wrogi, za wrogów musimy uznać profesorów, którzy ten system pielęgnują, którzy go rozwijają!

Wśród takich stosunków jednostkom, które pojmują i rozumieją do czego to wszystko prowadzi — wyrywa się okrzyk bólu, okrzyk naszej odezwy: »Stajemy młodzi, ale brak nam tej pogody myśli, która młodości oznaką. Systematyczne ogłupianie wydało już w części owoce! Niech się cieszą ci, którzy miasto Prawdy czystej i świętej w młodociane serca nasze wpajali fałsz

i serwilizm. Niech się cieszą — bo zatruli nam zdrowie, spaczyli naturę!«

Ale gdy my tę odezwę wydajemy, to konfiskuje ją policya, to niektórzy odważają się twierdzić, że przesadzamy! Otóż wam na przykładzie pokażę skutki tego stanu rzeczy, że młodzież pod kierunkiem takich nauczycieli i pod obuchem dzisiejszego systemu szkolnego tworzy tak wyrafinowane i ohydne szelmostwa, że niczem wobec tego zbrodnie tych, którzy za kratkami siedzą, gdyż oni szkoły średniej nie kończyli, a Stróżem Aniołem były im często nędza i głód!!

Jeden z tej młodzieży, pan, który może tu jest, lub nie, raczej go niema, gdyż komitet nie użyczyłby mu zaproszenia, — otrzymał tematy do zadań maturycznych z Rady szkolnej. Nie jego to »wina«, ale jest to wspaniała ilustracya naszych kochanych stosunków i stosuneczków szkolnych; a otrzymawszy je z wyrafinowaniem i obłudą, umyślnie i celowo podyktował kolegom parę fikcyjnych tematów — sam zaś, w domu wypracowane zadanie, tylko na czysto przepisał.

Koledzy! To wyrafinowanie, ten fałsz — dosięgły już niedosięgłych prawie granic, bo przecież każdemu wiadomo, że nawet złodzieje mają swój honor złodziejski i nigdy jeden drugiemu szkodzić się nie stara.

I wobec takich faktów, które nie są jedynymi — czyż nie mamy prawa utrzymywać, że szkoły, z której taka młodzież wychodzi nie należą do najlepszych?

I jeżeli Baudouin de Courtenay dziwi się, że fałszywa fasya nie wywołała u nas ani słowa protestu i oburzenia, to mu odpowiemy, że to skutki tego systemu szkolnego, który nas uczył okłamywać i oszukiwać od lat najmłodszych, tak, że późniejszy filister galicyjski, którego umysły szkoła przytępiła — do tej »naszej« moralności miał czas się przyzwyczaić.

Na str. 17-tej czytamy u niego: »Wysoce znamiennym jest zanik zmysłu moralnego P. T. »dziarskiej i sympatycznej młodzieży«, broniącej okopów.... św. Anny, przed urojonem niebezpieczeństwem ze strony złowrogich zastępów nowoczesnego Pankracego. Niby urywek z »Nieboskiej komedyi«! Tylko, że andere Zeiten — andere Vögel, andere Vögel — andere Lieder. W dzi-

siejszej trawestacyi »Nieboskiej komedyi« »chór lokajów« nie stoi już po stronie Pankracego, i bez wątpienia bardziej się to zgadza z psychologią społeczną«.

Tak, chór lokajów, umundurowanych lokajów w liberyach, którzy też jak lokaje w przedpokojach grywają w karty, grywają w bilardy, uprawiają hazard, szukają tanich brudów i jeszcze tańszej miłości!

Przyczyną tego nic innego jak ten system, który zbrukawszy nasze dusze w zaraniu, pozostawia na nich okropny stygmat przez całe życie, powtóre to, że »sumienni« nasi profesorzy, »siewcy przyszłych pokoleń« tolerują tak zwane labowanie się, — czyli nieuczęszczanie na godziny, tak że cały rój tych umundurowanych i lokajczyków może swobodnie rozbijać się po knajpach i szynkach. Więc zdarza się, że często na 50 uczniów, 10, 20, a nawet więcej jest »chorych«, choć o żadnej epidemii w mieście nie słychać. Zajrzyjcie do dzienników klasowych a łatwo się o tem przekonacie!

A jeżeli zawsze panowały u nas pod tym względem anormalne stosunki, to czasy obowiązkowego noszenia mundurów w galicyjskich szkołach średnich są epoką największego upadku moralnego naszej młodzieży! I niech pan Bobrzyński wydaje ukaz po ukazie, prawdziwego stanu rzeczy przed nami nie ukryje!

Profesor Samolewicz, analizując stosunki naszych szkół średnich przed laty, powiada w cytowanem już sprawozdaniu do Wydziału krajowego na str. 21-szej, »że w profesorach widziano wrogów zesłanych na to, ażeby zamiast prawdziwego światła szerzyć ciemnotę, zamiast zasad moralności i cnoty, propagować ślepe posłuszeństwo rządowi, zamiast wyrabiać dzielnych i prawych obywateli, tworzyć powolne i bezwiedne narzędzia centralnego rządu.... Szkoła spełniała nie tylko zadanie pedagogiczne i dydaktyczne, ale częstokroć i policyjno-polityczne i to spełniała nieraz daleko gorliwiej, niż inne narzędzia rządowe. Stąd niedziw, że wyrobił się w publiczności dziwny pogląd na szkołę i nauczycieli«... Od kilku lat zmienił się stosunek nauczycieli do uczniów, »a jednak ktokolwiek bliżej zna stosunki szkolne, ten przyzna niezawodnie, że nieufność ku szkole panuje w większej części publiczności. Jest smutnym, ale prawdziwym faktem, że rodzice,

oddając dzieci do szkoły, upatrują w nauczycielach w najlepszym razie urzędników, ale nigdy swoich przyjaciół«.

Wolno p. Samolewiczowi łudzić się nadzieją, że te stosunki zmieniły się na lepsze. Kto patrzy na świat galicyjski w dzień powszedni, ten wie, że czasy reakcyi i wstecznictwa ostatnich lat kilku odbiły się na szkole w sposób najgorszy, wie, że większość naszych profesorów to dogodne narzędzia autonomicznego rządu, którzy też nie małe temu rządowi oddają usługi, szerząc wśród zatruwanej owymi miazmatami młodzieży »lojalność« i »serwilizm«. Zresztą zapytajcie nas; my młodzi wiemy o tem z doświadczenia! Aż mi zimno od tych wspomnień!

Co za tem idzie? Oto że przejęci swą »misyą« urzędnicy zapominają, że są profesorami; idzie za tem to, że u nas wiedzą że dla przejścia z klasy do klasy nie zawsze trzeba się uczyć, gdyż są u nas środki inne, którymi ten sam skutek o wiele lepiej osiągnąć można!

Czyż jest kto, kto by temu mógł zaprzeczyć?

Jeśli uczeń w klasie 8-ej, Polak, patryota, ba nawet stańczyk i klerykał. na zapytanie profesora gdzie odbywa się akcya w Panu Tadeuszu odpowiada, że na Sybirze; jeśli na zapytanie »Was ist Renaissance?« odpowiada: »Renaissance ist von unten Baroc von oben Gothik (!)«, jeśli na zapytanie czy zna pismo artystyczno-literackie powiada, że jest niem »Śmigus« (!)*) jeśli znów August czy tam Henryk jest »cesarzem« (!) polskim, — to to chyba jest dostatecznym dowodem, że u nas przy puszczaniu ucznia z klasy niższej do wyższej, nie wiedza ani nauka są miernikiem oceny.

A co nim jest — zapytacie — w Galicyi? Przeczytam wam ustęp z felietonu Andrzeja Niemojewskiego, powtórzony przez »Naprzód« krakowski pod tytułem: »Znasz li ten kraj?«

»Od ministra — Polaka, aż do ostatniego stypendysty powszechnie ciągnie się sznur stosunków rodzinnych lub protekcyi. Mężowie stanu wyzyskują swe stanowiska operując na wiedeńskiej giełdzie; posłowie rozporządzają groszem publicznym, jak swoją własnością; profesorowie uprawiają politykę i polują na ordery; panowie spoczywają w swych

---

*) Znane brukowe humorystyczno pornograficzne pisemko (Prz. Red.).

rozległych latyfundyach — a gmin? On ucieka z kraju gnany rózgami nędzy, obżerany przez robactwo, toczony przez choroby. Oto obraz Galicyi a jeszcze daleko mu do istotnej grozy położenia! Znasz-li ten kraj? Pamiętasz owe Tatry z posępną kotliną Morskiego Oka? Tak, to istny raj, tylko Pan Bóg ludzi z niego wypędził. Znasz-li ten kraj?«

Znasz-li ten kraj, który ojcowie twoi krwią zrosili i potem sprawiali, a gdzie tobie nie wolno być patryotą?! Tak powtarzam, nam patryotami być nie wolno, bo gdy w pewnem gimnazyum, jakeście to już słyszeli — uczniowie w dniu 3-cim Maja święcili uroczystość nabożeństwem w kościele — dyrektor zwracając się do zebranych na chórze uczniów z wściekłym gniewem zawołał: »Ja wam to popamiętam!« Tak, nam patryotami być nie wolno!

Obchodzenie pamięci Wielkiego Rewolucyonisty, Tadeusza, illuminacyą, było objawem nagannym; uczczenie zaś Badeniego pochodem z pochodniami i wrzaskami ulicznymi było wyrazem »zdrowego patryotyzmu«!

A brudne hasła stańczykowskiej kuźni dostają się z ulicy na katedrę, gdyż nasi profesorzy polując na ordery i złote kołnierze, **w klasie uprawiają politykę!!**

Tyle się u nas mówi o miłości bliźniego, tak często i gruntownie rozbiera się przewodnią myśl Irydiona, tyle razy cytuje się pana Klaczkę w oświetleniu pana Tarnowskiego, a pana Tarnowskiego w oświetleniu pana Klaczki, — że zdawać by się mogło że nadeszły czasy ewangelicznej miłości, że nienawiść zniknęła z pośród nas na zawsze.

Tymczasem... któż to lepiej może wiedzieć niż my, koledzy, w których na każdym kroku wpajano jad nienawiści, — którym kazano nienawidzieć i błotem bryzgać na najszlachetniejsze ideały. któż to może lepicj wiedzieć niż my?

Przychodziliśmy do klasy — miano czytać utwór jednego z wieszczów naszych. Ale już po paru przeczytanych wyrazach, profesor znajdywał sposobność pokazania swojej elokwencyi, — słodko-płynnej elokwencyi wobec uczniów. Urastał w niepokonanego olbrzyma w oczach naiwnych, nierozwiniętych słuchaczów, a tam — pod Kapucynami, tłumy pijanej tłuszczy, jak je nazywał, te karły, ten Daszyński, to wszystko, zbijało się w kupę, drżało z trwogi, blade z przerażenia błagało o litość... a pan

profesor nieubłagany, bez litości, smaga, siecze, kąsa, pluje — aż złość przekrzywiła mu usta, — och — co to za bohater w oczach swoich własnych, co to za bohater w oczach skretynizowanych przez siebie słuchaczy....!! A oni? Oni spoglądają na jednego z kolegów, którego o socyalizm czy o inne jakieś »przewrotowe prądy« posądzają, spoglądają okiem pantery rzucającej się na ofiarę. Ale oto lektura ciągnie się dalej. Słychać rytmiczny głos profesora, deklamującego pana Tarnowskiego: Ta to teza głębokiej miłości, i t. d. i t. d. Tak wygląda u nas teorya i tak praktyka.

Jakie to skutki pociąga? — To pociąga ten skutek, że dziatwa gimnazyalna podjudzana i podbechtywana przez swych kierowników, wyciągała podczas szopki Badeniowskiej zardzewiałe rewolwery ze strychów, idąc bronić okopów św. Anny przed zastępami Pankracych!

Nie jest to przesada ani urojenie, dowodami mogę służyć w każdej chwili.

Ten system musiał pociągnąć najzgubniejsze skutki. Serwilizm i płaszczenie się przed profesorami i lizanie łapek spowodowały to, że w różnych klasach i gimnazyach pojawili się szpiegowie i denuncyanci klasowi, a tymi, którzy do szpiegostwa zachęcali byli najczęściej katecheci.

Jakie oni zajmują stanowisko w szkołach średnich, wiemy wszyscy. Znam katechetę, który uprawiał szpiegostwo na wielką skalę. I pomyślcie, byli tacy, którzy odważali się bronić go, mówiąc, że on przecież nie robi z tego użytku i t. d.

Wspaniale! katecheta szpiegujący »con amore«!! Słyszeliście o katechecie bocheńskim dopuszczającym się na dziatwie zbrodni sexualnych! Znacie całą litanię tych faktów ogłaszanych w swym czasie w organie naszym, lwowskim »Promieniu«. I to wszystko, to nie jest wyjątkowe, to powtarza się wszędzie, a jeśli my, tu w wielkich miastach cierpimy wśród takich stosunków ogromnie, to koledzy z prowincyi doznają tortur przypominających św. Inkwizycyę, choć co prawda w cywilizowanej formie!

Zresztą nie chodzi mi o te fakta, których litania jest nieskończona, chodzi mi o zaznaczenie, że to system, pociągający skutki o jakich mówiłem. A chcę to zaznaczyć dlatego, że trzeba raz wreszcie tej sturamiennej hydrze łeb urwać, trzeba raz mieć

odwagę z tem zerwać; trzeba sobie powiedzieć, że tak dalej być nie może; mamy dość tych fałszowanych matur, dość tych brudów i obłudy, dość aż zadość serwilizmu, który zalewa nas coraz szerszą falą; bez względu do którego obozu się zapiszemy, bez względu na to czy będziemy czerwoni — czy niebiescy, chcemy zachować to co stanowi młodzież, chcemy zachować czystość i prawość, — więc protestujemy przeciw systemowi szkolnemu, protestujemy przeciw niegodnym, protestujemy, protestujemy!

I dlatego kończąc pierwszą część mego referatu postawię rezolucyę, któia, życzyłbym sobie, by przeszła jednogłośnie, gdyż byłoby to dowodem, że sprawa tak wielka i szlachetna nad którą teraz pracujemy wspólnie, poruszyła w nas tę dobrą naszą resztę, której szkoła zbrudzić nie zdołała.

»Wyrażając szczere i głębokie uznanie i wdzięczność tym nielicznym profesorom, którym dobro młodzieży było pierwszym obowiązkiem, — protestujemy jak najenergiczniej przeciw całemu ogółowi nauczycielstwa średniego, który wpajał w nas jad nienawiści i serwilizmu, protestujemy przeciw przestarzałemu systemowi nauki szkolnej, który zmusza nas do fałszu i obłudy; protestujemy i wzywamy opinię publiczną i społeczeństwo, — niech usunie stosunki, które nam krzywdę największą, a społeczeństwu hańbę przynoszą«. (C. d. n.)

PROCES TORUŃSKI.

Proces Toruński już ukończony. Państwo, które rości sobie pretensye do przodownictwa w Europie, »kraj myślicieli«, kraj »bojaźni bożej i skromnych obyczajów», zatryumfował nad garścią młodzieży polskiej, której przestępstwem było to, iż potępiała pijaństwo, karciarstwo i rozpustę, a oddawała się studyowaniu literatury i historyi ojczystej, — jak to stwierdził sam prokurator państwa. Co prawda, usiłowano z początku skonstruować oskarżenie o zdradę stanu, próbowano zapomocą zdradzieckich przesłuchiwań, prowadzonych z pogwałceniem najelementarniejszych praw obywatelskich, wydobyć z gimnazyastów poznańskich przy-

znanie się do spiskowania przeciwko całości państwa pruskiego, ale nic z tego nie wyszło.

Skonstatowano tylko zwykłą pracę kulturalną i dążenie do podniesienia wspólnemi siłami swej własnej wartości moralnej! Tem musiano się zadowolnić i to zostało poczytane gimnazyastom naszym za zbrodnię.

Pocieszcie się panowie sędziowie i prokuratorzy pruscy! Kto wiatr sieje, zbiera burzę! Działajcie dalej w duchu dotychczasowym, a zasiejecie ziarna dążenia do niepodległości wśród młodzieży polskiej zaboru pruskiego, doprowadzicie ten, do niedawna najreakcyjniejszy i najlojalniejszy odłam młodzieży polskiej do prawdziwych spisków i prawdziwego rewolucyonizmu, a wtedy kto wie jeszcze, czy się nie pomieniamy rolami!

Proces toruński, od pierwszego wejrzenia, przypomina nam sprawę młodzieży wileńskiej z czasów Mickiewicza i Zana, z wszystkiemi jej dobremi i złemi stronami. To samo dążenie do doskonałości moralnej i gorąca miłość ojczyzny, ten sam brak określonych politycznych ideałów, niezdawanie sobie sprawy z tego, do czego dążyć należy, by wyjść z dzisiejszego nieznośnego położenia. Różnica, czysto formalna, polega na tem, iż pobudkę do prześladowania dała dość zresztą zwykła w tajnych związkach młodzieży nie wyćwiczonej w konspiracyi — zdrada.

Niejaki Gończa, kleryk z Pelplina, przez zbytnie zaufanie do swoich przełożonych, dostarczył niezbędnego materyału do sformułowania sprawy o »związku młodzieży«. Jednak już przed sągem Gończę opanowały smutne refleksye. Tam też począł się tłumaczyć, dlaczego wyjawił sędziemu śledczemu to, co wiedział o związkach.

Z tłumaczeń tych okazało się, że do złamania przysięgi, jaką każdy wstępujący do związku winien dać i dotrzymać, przyczynił się uczeń Chrystusowej nauki i jej zarazem nauczyciel — ks. Teitz.

Pan ten, chcąc nadać żądany kierunek wewnętrznej walce Gończy, walce, która się rozgrywała w nim podczas rozpoczętego śledztwa, począł wykładać obszernie na lekcyi religii, że przysięgę daną związkowi każdy złamać może, że związkowi wierności dochowywać nikt nie potrzebuje. To Gończę przekonało.

Nie zabrakło związkowym i charakterów silnych, śmiałych. Do takich należał oskarżony Orszulak, słuchacz teologii w Wrocławiu. Przytoczymy tu list, pisany do jednego z oskarżonych, a czytany w czasie rozprawy:

»Ręka się trzęsie z oburzenia, nad tem szykanowaniem naszej młodzieży, którą by chętnie wszelkim sposobem odsunięto od nauki. Mam atoli dobrą nadzieję, że się nie dacie, że na cios ciosem, na cięcie cięciem odpowiecie. Nam być sobą, nam być światłem ziemi. Aby zaś spełnić tę zaszczytną misyę, starać się nam trzeba, aby stać jak najwyżej umysłowo i obyczajowo. Hejże naprzód, hejże wyżej. Nigdy wstecz i nigdy niżej! Każde odrodzenie z bólem złączone, a i nas odrodzenie nasze boleć musi... Nasi rodzice mają wiele zmartwienia i kłopotów z powodu procesów, na jakie jesteśmy narażeni, ale będziemy się starali później wynagrodzić im sowicie dzisiejsze zmartwienia«!

Tak — nigdy wstecz i nigdy niżej — młodzieży nasza.

Ciekawym było wystąpienie oskarżonego Krzyżankiewicza, który zwróciwszy się do trybunału zapytał, czy który z sędziów nie jest jednocześnie członkiem stowarzyszenia »Ostmarkverein«, uzasadniając zapytanie tem, że należenie do tego stowarzyszenia którego z sędziów pozbawiłoby go pewności co do bezstronności sądu, co znów zmusiłoby go do założenia protestu przeciw jego składowi. Zamiast odpowiedzi prokurator postawił wniosek natychmiastowego ukarania Krzyżankiewicza kwotą 100 marek, co trybunał jednak odrzucił. Adwokat, broniący Krzyżankiewicza w tej chwili oświadczył, że składa obronę, ponieważ oskarżony wystąpił bez poprzedniego porozumienia się z nim. Fakt ten jest ciekawy dla tego, że cechuje on obrońców.

Przesłuchiwanie oskarżonych wogóle było monotonne, wszystkim zadawano prawie jedne pytania, jednakowe też otrzymywano odpowiedzi. Jednak jeden fakt zasługuje na wyróżnienie.

U jednego z oskarżonych znaleziono wypracowanie polskie, zatytułowane: »Treść Lilli Wenedy (Słowacki)«. Ponieważ wypracowanie było napisane inną ręką, więc przewodniczący sądził, że to jest list, pisany przez kogoś do oskarżonego. Oskarżony, na zapytanie, kto to pisał, odpowiedzieć nie chciał, na to przewodniczący odrzekł z powagą:

»Zresztą to nie potrzebne, wszak na wypracowaniu zaznaczono, że je pisał Słowacki, czy on był również członkiem stowarzyszenia?«

Tak — chcieliby oni, żeby każdy Polak, jak ów sędzia miał takie pojęcie o swojej literaturze.

Niestety panowie, młodzież polska wynaradawiana, odcinana, odsuwana od znajomości polskiej literatury i historyi, będzie zawsze umiała organizować kółka, dla nauki języka i historyi ojczystej — dla kształcenia się na prawdziwych obywateli kraju.

Po skończonej obronie zapadł wyrok, skazujący tylko 43. Z nich 6 otrzymało naganę, 37 karę więzienia od 1 do 3 miesięcy.

Ta młodzież skazana spełniła nic innego, tylko swój obowiązek, zasłużywszy tem na ogólny szacunek i uznanie. Wierzymy mocno, że obowiązek ten i nadal spełniać będzie.

EDMUND LIBAŃSKI.

Z WRAŻEŃ »WĘDROWNEGO PRELEGENTA«.

...Cudowne, pełne zieleni fale wzgórz ślą urok swój oczom i duszy; tu i owdzie przebłyskuje srebrna wstęga strumyka, odbijająca ciche blaski niebios, gdzieniegdzie zasępił się cichy staw kępami sitowia lub zadumało małe jeziorko — a do tego krajobrazu ziemi polskiej przytuliły się białe i czerwone domeczki osad ludzkich.

To Śląsk, ziemia cieszyńska, dawna siedziba Piastów — ziemia polska, bo żyje na niej lud nasz, lud polski, który przetrwał setki najazdów niemieckich i czeskich i przetrwa dzisiejsze fale sąsiedzkich zaborczych instynktów. A do tej ziemi ciągną biedacy, wydziedziczeni chłopi, robotnicy bez pracy z Galicyi, ciągną... na zarobek...

Po nad tą ziemią pełzają to wyżej, to niżej smugi i obłoki dymów, biją w niebo słupy ogni i czarnych tumanów a przez powietrze płyną dziwne dźwięki łoskotów, huków i stuków.

Pod temi cudnemi wzgórzami, które patrzały na niejedną kartę historyi wielkiego narodu, żyją dziś krety-ludzie, huczą potwory-machiny, natężają ramiona tysiące istot ludzkich — dla zdobycia »czarnych dyamentów«, i dlatego od tej zieleni odbijają dysharmonijnie sylwetki zabudowań fabrycznych, rysując na tle niebios liczne cienie kominów i dlatego na drodze, z której ściele nam się ten widok, spotykamy tyle oryginalnych postaci chłopów-górników.

Niedziela! — dzień jak wymarzony, pełen »słońca i pogody« a grono nasze, asystujące wykładom prelegenta »Uniwersytetu ludowego« jest nader dobrze usposobione.

Rankiem 25 sierpnia wyjechaliśmy z Frysztatu po konferencyi w sprawie śląskiej; pani O. G. literatka, pp. R. i N., dwaj działacze na Śląsku i prelegent. Udzielając sobie wzajemnie uwagi o pełnej ofiarności pracy narodowej pastora Michejdy, redaktora »Głosu ludu śląskiego« Friedla i niestrudzonej jego małżonki, urządzającej to odczyty, to pogadanki, to przedstawienia, dla ludu polskiego, dalej dr. Kłuszyńskiego i wielu innych poznanych na konferencyi osób, dojeżdżamy do Orłowej (jedno z ognisk produkcyi węgla na Śląsku), gdzie zapowiedziany był wykład na godzinę 3. popołudniu.

Posiliwszy się nader prymitywnie w wielkiej robotniczej oberży i urządziwszy wszystko potrzebne dla demonstracyi obrazów świetlnych, oczekiwaliśmy audytoryum. Niebawem zapełniła się olbrzymia ubikacya — jakie znajdują się prawie w każdym tak zwanym »domu gościnnym« na Śląsku — górnikami, ich żonami, robotnikami i robotnicami... Mężczyzni zasiedli z szklankami piwa w ręku i fajkami.

Ponieważ tego samego dnia stow. czeskie urządziły festyn, odwodząc i polskich robotników od wykładu i agitując przeciw »polskim komedyantom«, (zapowiedziane obrazy świetlne wykładu »O cudach techniki«, uważano za rodzaj jarmarcznej produkcyi), przeto zeszło się zaledwie do 250 słuchaczy, (na wykładzie innym »O tuberkulozie« Dra Kłuszyńskiego było dawniej zwyż 1000 osób).

Żywioł robotniczy w Orłowej przedstawia w rozmaitych czasach odmienny obraz, składa się z przybywających ciągle świeżo elementów, podczas gdy dawni idą dalej. Energia i praca p. Ta-

deusza Regera skupia jednak zawsze pomyślnie te żywioły polskie w stowarzyszeniach kształcących.

Przy zasłoniętych oknach i w głębokiej ciszy skupionych słuchaczy upływa 1½ godziny wykładu; kończę go wezwaniem do poznania potęgi pracy — do kształcenia się; wskazując horoskop lepszych stosunków materyalnych i pogodniejszej pracy.

Cisza, nikt ani się ruszy... — powiadam więc po upływie kilku sekund: »proszę, już koniec wykładu«.

— »Zaś niech tam oni jesce co powiedzą i pokazą, momy czas« — odzywa się kilka głosów.

Trzeba było wyjaśnić, że niestety, mimo najlepszych chęci prelegent nie może uledz życzeniom — choćby tak ujmująco wygłoszonym, bo za chwilę jazda dalej! — O 7. godzinie miał być wykład w Stonawie, miejscowości dwie mile odległej od Orłowej.

Pożegnaliśmy się serdecznie z całem audytoryum przyrzekając, że pojawimy się znowu innym razem, a wołania: »dziękujemy, niech was Bóg prowadzi«, dochodziły nas jeszcze, gdy konie naszego wehikułu ruszyły już z kopyta.

Podróż popołudniu była tak piękna, jak i jazda ranna, z drogi wznoszącej się to zniżającej stokami tych łagodnych pagórków — widzieliśmy w dali siniejące pasma i szczyty Karpat.

»Tam Góra Barania« w tej stronie »źródła Wisły«, tamtędy płynie »Olza«, wskazywaliśmy sobie wzajemnie, a skłaniające się ku zachodowi słońce, złociło schludne domki i ogrody, śmiało się do wzgórz, lasów i ludzi... nawet dymiące kominy zdawało się, że marzą... — tak cicho i prościutko szły wstążki dymów ku niebu...

Gdy zbliżyliśmy się do Stonawy długie już cienie zaległy drogę, a sinawa mgła poczęła owijać świat.

Przed gospodą gwarno i rojno, tłum kobiet i mężczyzn grubo zaciekawionych plakatami obwieszczającymi »Cuda«. Lud zupełnie odmienny niż w Orłowej, bo wyrosły na roli, pracujący wprawdzie w kopalniach, ale mający oparcie na kawałku własnej ziemi. Natury szczere, bez cienia uniżoności; przywitano nas braterskiem »ak się macie, może co zjecie, albo napijecie się, boście pewnie pomęczeni«, uściskaliśmy poufale wyciągnięte spracowane dłonie,

słuchając z przyjemnością »śląskiej gwary ludowej«. Trochę w niej niemczyzny, jak np. »voter« (ojciec) i tp. trochę — znacznie mniej czeszczyzny, ale trzeba być doprawdy szowinistą fanatyzmu czeskiego, żeby mieć czelność wmawiania w ludzi, że mowa ta jest zepsutą przez Polaków czeszczyzną.

Wszak to rodzimy swojski »język polski« przez wieki różnej doli zachowany — zrosły z ziemią i charakterem ludu, polskiej duszy i o polskiem złotem sercu. Jak tu nie dziwić się, jak nie wołać, jak poprostu nie krzyczeć, widząc że $^1/_4$ miliona ludu polskiego, systematycznie jest wynaradawiane wszelkimi sposobami przez Czechów, bo Niemcom to się nigdy nie uda. I doprawdy aż gorycz wzbiera w duszę, że ten osławiony »Piemont polski« Galicya, tak mało dba, tak ozięble przyjmuje wieści o losach $^1/_4$ miliona polskiego ludu na Śląsku, a tak dużo... tak szumnie deklamuje o patryotyzmie i o Polsce.

Po poznaniu się, ustawieniu ekranu, Skioptikonu — przyczem niezmiernie gorliwie dopomagała nam okazała Ślązaczka, sama właścicielka gospody i chłopcy, wysłaliśmy gońców do wsi, aby więcej ludzi się zebrało.

Pozostali, zapytani czego wolą słuchać? — czy o maszynaeh, kolejach i t. p. — czy też o gwiazdach, księżycu i słońcu, prosili o wykład z astronomii.

»Zgoda!« — odpowiedziałem — przygotowaliśmy z podróżnego futerału obrazów, tylko astronomiczne i za kwadrans miała się rozpocząć prelekcya. Broszurkę o Uniwersytecie ludowym kupowano nader chętnie, dopominano się o nią, a wspominam o tem dlatego, że publiczność w miastach zazwyczaj stroni od broszur i nie pamiętam wypadku, by dopominano się o nie.

...Niebo zaroiło się mrugającemi światełkami i księżyc już patrzał na świat, gdy zbliżył się czas wykładu, domeczki w dali, kominy i sylwetki fabryk rozpływały się w cieniach wieczoru.

Cisza — szumiały tylko rozkołysane swawolnym wietrzykiem drzewa przydrożne — echo niosło ciężkie sapanie lokomotywy gdzieś z daleka, — hen..... gdzieś pies się odezwał, rozległo jakieś wołanie z zagrody i Stonawa zwolna zapadała w sen.

W gospodzie ruch i ożywienie, kobiety pytają: »co to będzie za komedya?« a okazała właścicielka pyta mnie, patrząc pro-

tekcyonalnie na moje zabiegi przy ustawieniu Skioptikonu i ułożeniu obrazów: »a mają oni muzykę?«

— Muzykę do wykładu z astronomii? — hm! doprawdy na ten pomysł jeszcze nie wpadłem; tłumaczę więc, że orkiestra jest piękną rzeczą do tańca i śpiewu, ale nie do tłómaczenia zjawisk na niebie.

»No, to oni mało zarobią« — powiada rozumnie gospodyni, a ruch lekceważący jej potężnej prawicy stwierdził, że uważa nas za fuszerów w komedyanckim zawodzie.

Tymczasem zapełniła się sala i bez muzyki w pierwszych rzędach ławek zasiadło do 150 kobiet wieśniaczek, różnego wieku, wszystkie zadowolone, uśmiechnięte z zaciekawionemi wyrazami sympatycznych twarzy, w dalszych mężczyzni, chłopi-górnicy, gospodarze, młódź, razem było w sali do 400 osób, a mnóstwo zaglądało przez rząd szerokich okien.

Widok tych głów za oknami, po których błądził blask księżyca, zapełniona sala, ożywiony gwar, dym z fajek, uwagi głośne na temat białego ekranu i latarki, składały się na nader oryginalny obraz; ale nie czas mi było czynić obserwacye, trzeba było zacząć.

Byłem doprawdy trochę zaambarasowany, bo — proszę mi wybaczyć — wątpiłem czy 150 kobiet wiejskich potrafię zainteresować naukami Kopernika i zjawiskami nieba bez... muzyki; męskiego audytoryum byłem bardziej pewny, nigdy nie zawiodło moich oczekiwań co do skupienia uwagi i zainteresowania się przedmiotem. Objaśniwszy cel nasz, cel wykładów takich, przystąpiłem do przedmiotu i bardzo przyjemnie się rozczarowałem, co do kobiet.

Siliłem się wprawdzie na najpopularniejsze porównanie, prymitywne dowcipy, proste objaśnienia obrazów ale miałem tę satysfakcyę, że dwugodzinnego wykładu słuchały i kobiety i mężczyzni z nieustającem zajęciem, przerywanem serdeczną wesołością przy aluzyach, dotyczących księżyca, komet, zabobonów ludzkich i bajań o końcu świata.

Gdy zakończyłem jak zazwyczaj przekonywaniem o potrzebie poznania świata i życia dzisiejszego na ziemi, zachęceniem do czytania i garnięcia się do oświaty, słyszę nagle kilka głosów: »wiborne!« (czeskie uznanie zamiast brawa i oklasków),

kilka brawo! i głos donośny odosobniony: »zaś tak, prawdę oni mówią«! i wszyscy siedzą dalej nie ruszając się z miejsc.

Trzeba było tak samo jak w Orłowej dopowiedzieć że koniec wykładu i dopiero powolnie z żalem stanęły kobiety i mężczyzni do odejścia — starając się osobiście jeszcze pożegnać z komedyantami. Protekcyonalne, uprzejme skinienie głową i miło wypowiedziane słowa »bądźcie zdrowi«, świadczyły, że nie żałowali wydanych 10 kr. Gospodyni zaś już wspomniana, oświadczyła mi z prawdziwem, fachowem znawstwem: »no za szóstaczka było dość, ale zawsze szkoda, że bez muzyki, — nie dużoście zarobili«!

(Dok. nast.)

REFORMA SZKÓŁ ŚREDNICH W ROSYI.

Dzienniki obwieściły już o reformie gimnazyalnej, mającej nastąpić w państwie rosyjskiem już od jesieni. Polega ona, jak wiadomo, na zupełnem zniesieniu greczczyzny, na zrobieniu z łaciny przedmiotu nieobowiązującego i na powiększeniu kursu języka rosyjskiego i języków nowożytnych, oraz wprowadzeniu nowego przedmiotu — prawoznawstwa. Jak ta reforma wyglądać będzie w praktyce, o tem trudno dziś mówić — szczególniej zagadkowo brzmi owo »prawoznawstwo« *) — ale do pewnego stopnia można już teraz przewidzieć skutki. Nad zniesieniem greczczyzny nikt chyba płakać nie będzie. Ten strupieszały zabytek scholastyki średniowiecznej wzbudzał powszechną odrazę i wątpimy, by istniał dziś w Europie tuzin uczniów, którzyby z zamiłowaniem studyowali grekę. O łacinie tego samego powiedzieć nie można. Nie ulega wątpliwości, że nauka łaciny wpływa korzystnie na władze umysłowe i chociaż tego samego celu możnaby dopiąć, studyując jakiś przedmiot, mający bardziej realne znaczenie, ale wątpimy bardzo, by pedagogowie rosyjscy dali nam coś lepszego. Za to

*) Jeden z naszych znajomych, były wychowanek korpusu kadeckiego w których ongiś wykładano też prawoznawstwo (zakonowiedienije), mówił nam, że całoroczny wykład polegał na streszczeniu różnicy między szlachcicem angielskim a rosyjskim!

niewątpliwie powiększy się poziom wymagań co do języka rosyjskiego i koledzy nasi z zaboru rosyjskiego będą musieli, jeszcze w większym — niż dzisiaj — stopniu zagłębiać się w rozkosze stylu »wyższego, średniego i nizkiego czyli podłego«, »kuć« na pamięć ustępy z Trediakowskiego, Łomonosowa itp. geniuszów itd.

Ale ciekawą jest kwestya, w jakim celu dokonana została reforma. Przecież nikt nie może przypuścić na chwilę, że absolwent szkoły junkierskiej (minister Wannowski) i były dyrektor więzień (jego pomocnik) mają na widoku podniesienie poziomu wykształcenia młodzieży rosyjskiej. Prawdopodobnie też celem rzeczywistym jest zmniejszenie zasobu wiadomości, które uczniowie wynoszą z gimnazyum, zbliżenie się do czasów mikołajowskich, kiedy to typem zakładu średniego były »instytuty szlacheckie«, dające znajomość języka francuskiego, tańców i szermierki. To samo niedawno zostało dokonane w szkołach realnych, w których ilość przedmiotów wykładanych została znacznie zmniejszona. Ale chcielibyśmy zwrócić uwagę jeszcze na jedną rzecz: oto prawdopodobnie znaczna część uniwersytetów zagranicznych przestanie przyjmować maturzystów rosyjskich, gdy reforma zostanie wprowadzona w życie, jako nie posiadających znajomości greki, a w wielu wypadkach i łaciny. Jeżeli to nastąpi, w takim razie autorowie projektu reformy będą mogli przyklasnąć swemu dziełu!

KORESPONDENCYE.

Tarnów, 15. października 1901. Przesyłam Szan. Redakcyi pierwszą, o ile wiem korespondencyę z Tarnowa. Nie powiem nic nowego może, boć przecie wszędzie u nas te same stosunki panują.

Na czele zakładu stoi człowiek dobry, dyrektor Karol Benoni. Złej woli zarzucić mu nikt nie może, tak jak i katechecie ks. Wątorkowi, jeden grzeszy brakiem charakteru silnego i tem, że pozwala rządzić katechecie, a drugi fanatyzmem zbytnim może. Poczciwy księżyna grzeszy jednak także brakiem wychowania i wykształcenia. Przejęty oburzeniem na tych »obrzydliwych chłopców«, co śmią czytać zakazane książki i szerzyć »poprostu« du-

cha niewiary. (Pod niewiarą uważa ks. Wątorek wszelką wolnomyślność, choćby najniewinniejszą).

Piorunuje nie tylko na egzortach ale przy każdej sposobności, głosząc przytem takie zasady, jak: »Nie czytać smarkacze książek, uczyć się. Wybiję ja wam z głowy kółka filozoficzne«. Księdzu katechecie mamy zawdzięczać, że zmuszono do wystąpienia z gimnazyum dwóch kolegów, pod pretekstem »kategorycznego sprzeciwiania się dyrekcyi i niewypełniania obowiązków«.

Jednego kolegi ustąpienie zawdzięczamy staraniom c. k. nauczyciela matematyki Waśniowskiego, który się później wyraził, jak świadczy naoczny świadek, »gdyby się nie był wyniósł, byłbym ja go przycisnął«. Szanowny ten pedagog używa zwykle santencyi: »Der Kaiser zahlt für die ganze Stunde«, i sądzi, że prawo jest do tego, aby je naciągać. Pedagog ten używa takich środków pedagogicznych, jak odgrażania się: »Przycisnę ja was; mnie nic nie obchodzi, ja mam spełniać przepisy«. Jest to zwykła maszyna robocza. To samo dałoby się powiedzieć o takich profesorach, jak Schnitzel, Martusiewicz z tą różnicą, że ci są bardziej względni dla uczniów. Zły z gruntu, a po prostu wstrętny jest radca K o r n i c k i, Rusin, patryota austryacki. Na prawdziwą sympatyę zasługują prof. Jędrzejowski, Bogucki, oraz profesor literatury polskiej Tadeusz Pini. Tyle o profesorach.

Co do hygieny zakładu, to o tej niema co mówić, bo jej niema. Do niedawna byliśmy okropnie natłoczeni, od czasu, jak się część wyniosła, na filię, to przestroniej, ale nie zdrowiej. W gimnazyum naszem n. p. sala gimnastyczna znajduje się w piwnicy. Wodę pijemy z beczek, w których się macza gąbki. Karafki po klasach, to zaduże koszta. O prawdziwych ćwiczeniach gimnastycznych mowy niema.

Teraz o studentach.

Są tu jak wszędzie trzy grupy: I. tłum bezmyślny, kujonów lub próżniaków klasowych, trawiących czas, jeśli nie przy gramatyce, to po ulicach, placach, gdzie c. k. oficerowie grają w lawn-tennis, lub w budach przejeżdżających »komedyi«, koloseów i podobnych cudowności.

II. Wyznawcy kultu Bachusa i Astarty, z których niektóre jednostki, jako zbyt demoralizujące i wstrętne podać będę zmuszony.

III. Garstka ludzi pracujących, starających się uzyskać ogólne encyklopedyczne wykształcenie, pracująca w skrytości, prześladowana przez katechetę i ogół kolegów.

Garstka ta uczy się: 1. historyi polskiej, 2. historyi literatury polskiej, 3. historyi powszechnej, 4. historyi literatury powszechnej, 5. historyi sztuki, 7. ekonomii i socyologii, 7. historyi naturalnej.

Poszczególni koledzy zaznajamiają się nawzajem w rozmowach w naukach, nad którymi każdy z osobna pracuje.

Tyle na dzisiaj.

SCLAVUS FUI.

KRONIKA.

Towarzystwo wydawnicze. Kilka lat istnieje i funkcyonuje we Lwowie Towarzystwo wydawnicze, w Dyrekcyi którego zasiada i nadaje ton p. J. Popławski, redaktor Przeglądu Wszechpolskiego. Gdy się to towarzystwo zakładało, wtenczas zachęcano wszystkich do brania udziałów, podając jako cel spółki wydawanie takich rzeczy, których by inni wydawcy nie chcieli przyjmować dla względów cenzuralnych lub przekonaniowych. Otóż warto przejrzyć katalog dzieł, wydanych przez towarzystwo. Prawdziwy groch z kapustą! Obok rzeczy bardzo cennych i niewątpliwie użytecznych, jak Korzona „Zamknięcie dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta“, Zyeba „Syzyfowe prace“, Potockiego „Współzawodnictwo i współdziałanie“ itp. znajdujemy tam np. „O uprawie łąk i pastwisk“, „Syfilidologia“ doktora Klimy i mnóstwo innych rzeczy, które wydałby każdy księgarz. Za to Tywarzystwo wypłaca dywidendy. Dobry obraz „praktycznej polityki“, jak brzmi hasło, rozpowszechnione obecnie z lubością w pewnych sferach.

BIBLIOGRAFIA.

Wilki i barany, ciąg dalszy Tajemnic Aleksandrowskiej Cytadeli w Warszawie, napisał St. Miłkowski. Kraków, 1901. Gdy się bitwa skończy, armie wrócą na swe stanowiska, a pole walki zastygnie w spokoju pogrążonych w śnie wiecznym ciał bojowników, wtedy wraz z hyenami i ptakami zjawiają się teraz, pod osłoną nocy szeregi ciemnych postaci. Są to maruderzy, którzy w samej rozprawie nigdy udziału nie biorą, ale tem skwapliwiej przybiegają później, by napełnić swe kieszenie kosztem pomordowanych.

To samo odgrywa się po każdym ruchu politycznym. Ludzie, którzy w nim byli, i częstokroć nie mają o nim najmniejszego pojęcia, korzystają wtedy z zainteresowania wypadkami, by wypisywać o nich niestworzone brednie i nabijać sobie kabzę. Zjawisko to jest w wysokim stopniu wstrętne, a nieraz i niebezpieczne. Czy pan taki pisze np. o ostatniem powstaniu w duchu patryotyczno rewolucyjnym, czy stańczykowsko ugodowym, to rzeczy wcale nie zmienia, jeśli tylko widać, że on wypadków nie zna, czerpie swe wiadomości ze źródeł podejrzanych i gwoli sensacyi oraz pociągnięcia czytelników i kupujących gotów jest największe brednie podawać za prawdę.

Do powyższej kategoryi należy p. Miłkowski. Nie wspominalibyśmy o tym jegomościu, gdyby nie to, że utwór jego doczekał się (w I. tomie) trzeciego wydania. Warto zatem ostrzedz przynajmniej czytelników przed bredniami, które stanowią niemal jedyną treść tych książek.

Pierwszy tom zawiera pozbierane z różnych pamiętników i najzupełniej niekrytycznie, ale za to bardzo melodramatycznie ze sobą powiązane opisy śledztw, tortur, egzekucyj, zdrad itp., z r. 1846 i 1860. Niepodobieństwem byłoby sprawdzić, ile w tem prawdy, a zresztą taka robota nie opłaciłaby się nigdy, ale wystarczy zacytować jeden z ustępów początkowych, świadczący, iż autor nie zna nawet najważniejszych dzieł z historyi naszych ruchów narodowych. Powiada on mianowicie:

„W czasie spisku Konarskiego, czy też później nieco, a wypada to może na wyprawę Zaliwskiego itd“, (str. 38).

Otóż spisek Konarskiego istniał w latach 1836—1858, a wyprawa Zaliwskiego (z której wyłonił się dopiero spisek Konarskiego) w r. 1830.

Wogóle zaś niezmiernie przykre robi wrażenie to ciągłe babranie się we krwi i męczarniach tych nieszczęśliwców, którzy padli ofiarą siepaczy moskiewskich. Jak gdyby w ruchu naszym nie było innych wspomnień od zdrad i cierpień! — Przedstawianie tylko tej jednej strony powołań prędzej może ostudzić zapał do sprawy narodowej, niż go rozniecić. Zatem pierwszy tom, to niesmaczny melodramat, podejrzanej wartości historycznej. W drugim zaś spotykamy się z socyalizmem oraz „nihilizmem“, jak się szanowny autor wyraża. Tu już daje on zupełnie

wolny polot swej fantazyi. — Ci „nihiliści“, to „dzicz przejęta do szpiku kości zasadami anarhizmu“, „tygrys, nie pojmujący życia bez sztyletu w dłoni, trucizny i dynamitu“ itd. itd. Ale mniejsza z tem, co p. M. myśli o „nihilistach“, po cóż on jednak daje o nich czytelnikom zupełnie błędne informacye. Zalicza on np. do nich powstańca Berezowskiego, z którego w dodatku robi rosyanina nazwiskiem Bierozowskij; Sołowiew, który strzelał do cara, był to „zaciekły żyd“. I jedno i drugie jest fałszem: Berezowski jest patryotą polskim (żyje on dotąd i nie wyszedł z zesłania w Nowej Kaledonii), a Soł. był typowym rosyaninem. Wszystko inne jest również dokładne: zamachu 15. marca dokonał Rusków (ma być Rysaków) Chałturyn, jest nazwany Kalturyn. Zeleba — Seliabów. Widocznie autor czerpał swe informacye z jakiejś niemieckiej książki, prawdopodobnie z dzieł osławionego radcy policyjnepo Zachera.

A jak sobie p. M. wystawia polski ruch robotniczy? Oto obrazek:

„Robotnicy na przykład są zebrani w szynku lub karczmie, piją, hałasują, alkohol coraz bardziej rozognia, roznamiętnia; wówczas głównym przedmiotem rozmowy jest nieszczęsna ich dola. Nagle szynkarz, spojrzawszy w okno woła: „Żandarmi! Kozacy!“ (str. 99).

Wtenczas powstaje awantura. Robociarze wybiegają, zaczynają tłuc kułami kozaków, ci tylko czekali na to, kują ich, wiążą, prowadzą do cytadeli i wtedy rozpoczyna się proces socyalistyczny.

„Kto tu winien?“ — woła pompatycznie p. M. — My na to odpowiemy, że winien jedynie głupiec, który takie rzeczy pisze i wystawia sobie, że polski ruch socyalistyczny polega na burdach karczemnych.

Wszystkie inne informacye są tej samej wartości. Cała zaś dekubracya kończy się rozdziałem „Ostatnie wyroki cytadeli“, w którym opowiedziana jest taka historya: „Dyrektor tajnej policyi“ w Warszawie nie wiedział już, co robić, gdyż nie mógł złapać nikogo, a codzień znajdywał na swem biurku numer „Niepodległości“ (musiał to być zawsze ten sam numer, gdyż bzdurne to pisemko skonało po numerze pierwszym!). Wtedy wykrzyczał on swych ajentów, a ci „skaptowali jakiegoś biedaka za kilkadziesiąt rubli“. Biedak ten miał chodzić i podsłuchiwać. Socyaliści dowiedzieli się o tem i zabili tego biedaka. Wtedy przyaresztowano ich i powieszono czterech, mianowicie Bardowskiego, Kunickiego, Ossowskiego i Pietrusińskiego. Działo sią zaś to wszystko 28. grudnia 1900 r. To były ostatnie wyroki komisyi śledczej, gdyż odtąd działać będą sądy wojenne. Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę, czyli klituś bajduś, koszałki opałki! Czterech wyżej wymienionych działaczy powieszono już 15 lat temu (28. stycznia 1886 r.), ale co roku urządzają się obchody ich męczeńskiej śmierci; p. M. o takim obchodzie słyszał i z tego ukuł całe opowiadanie!

Ale oprócz takich głupstw są tam i rzeczy, mogące przynieść poważną szkodę. Oto opowiada się tam (str. 14 do 41) o „czynie, który gdyby był rzeczywiście prowadzony z większą tajemniczością i z większą energią, spowodowałoby niezawodnie doniosły krach rządu“ i który był

„w każdym razie sprytnym zamachem poderwania kredytu rządowego". Otóż czynem tym było fabrykowanie fałszywych rubli rosyjskich, a nihiliści rosyjscy i patryoci polscy mieli się tem zajmować. Otóż musimy tu powiedzieć, że jest to wierutny fałsz. Co prawda, pewna ilość polaków została po powstaniu pociągniętą za granicą do odpowiedzialności za fałszowanie pieniędzy, ale pokazało się później, iż rzeczywistymi fałszerzami byli ajenci rosyjscy, którzy chcieli w ten sposób zniesławić emigracyę. Sprawa ta jest opisana w ciekawej broszurce p. t. „Die polnische Filscherbarne und die russischen Staatszäthe". Dziś tylko ajent prowakator rosyjski albo skończony półgłówek może zalecać robienie fałszywych pieniędzy, jako patryotyczne przedsięwzięcie.

Ostrzegamy wszystkich naszych szytelników przed książką p. St. M.

OD REDAKCYI.

Z początkiem nowego roku szkolnego oczekujemy od kolegów licznych korespondencyi. Przy sposobności przypominamy wszystkim współpracownikom i korespondentom, iż ułatwią nam znacznie robotę, pisząc tylko po jednej stronie papieru i zostawiając marginesy na rękopisach.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Czujduch. Temat sympatyczny, ale opracowany zbyt szkicowo. Czy nie moglibyśmy dostać korespondencyi o gimnazyum cieszyńskiem.

Obserwator. Artykułu „Z życia akademickiego" drukować nie będziemy, dla przyczyn, które już zapewne są Wam wiadome. Czy mamy Wam odesłać rękopis? Pożądany byłby artykuł, omawiający stosunki Wasze z bardziej ogólnego punktu widzenia.

Autorowi korespondencyi z Tarnowa. Czekamy na obiecany materyał z wielkiem zaciekawieniem.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **Kachnikiewicz Janusz Stanisław.**
„Drukarnia Udziałowa", Lwów, Lindego 8.